

Po Wilnie

Doprawdy trudno przecenić polityczne znaczenie tego, iż to pakt amerykańsko-niemiecki zablokował w Wilnie zaproszenie Ukrainy do zachodniego sojuszu. Zwłaszcza z polskiej perspektywy – rzecz ta zasługuje nie tylko na zwrócenie uwagi, ale i na klarowne rozumienie i wyciągnięcie wniosków. Oczywiście, po wileńskim szczycie nikt nie wie, jak Ameryka zachowa się jeszcze w przyszłości – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Doprawdy trudno przecenić polityczne znaczenie tego, iż to pakt amerykańsko-niemiecki zablokował w Wilnie zaproszenie Ukrainy do zachodniego sojuszu. Zwłaszcza z polskiej perspektywy – rzecz ta zasługuje nie tylko na zwrócenie uwagi, ale i na klarowne rozumienie i wyciągnięcie wniosków. Oczywiście, po wileńskim szczycie nikt nie wie, jak Ameryka zachowa się jeszcze w przyszłości. Zwłaszcza, że uspokajające gesty, jakie Biden czynił wobec Zełeńskiego już po wileńskim zebraniu NATO, czyli po tym, jak jawnie uderzył w interesy Ukrainy i upokorzył jej przywódcę, sprawiały wrażenie, jakby sami Amerykanie poczuli się trochę nieswojo w zaskakującej roli głównego hamulcowego rozszerzania sojuszu na wschód. A zważywszy na niesłabnące, mimo porażki w Wilnie, parcie ekipy Zełeńskiego na uzyskanie członkostwa, oznacza to tyle, iż sprawa ciągle nie jest definitywnie przesądzona, zaś Kijów, mimo niesprzyjającej dlań koniunktury, nie stracił jeszcze szans na złamanie uporczywego oporu Ameryki.

To w ogóle interesujące, że Biden w Wilnie wziął na siebie cały ciężar sprzeciwu wobec dążeń Ukrainy. To bowiem pozwoliło ukryć się za amerykańskimi plecami drugiemu kluczowemu oponentowi rozszerzenia – czyli Scholzowi. Niemcy mogli się w Wilnie nie wystawiać na sztych, bo zaskakująco (chyba także dla nich samych) całą brudną robotę zrobił za nich ktoś inny. Prawdę mówiąc, nie jest do końca jasne, czemu Biden zechciał wielkodusznie zdjąć całą winę z Europejczyków. Jedyna rozsądna hipoteza, jaka się tu nasuwa, to ta, iż dobry klimat w Europie dla otwarcia się na Kijów zbyt szybko rósł w ciągu ostatnich dni przed szczytem, więc w Waszyngtonie powstała obawa, iż silna presja Zeleńskiego może złamać przygniatającą większość Europejczyków, zostawiając Scholza w całkowitej izolacji. Zresztą jeśli wierzyć różnym półsłówkom wypowiedzianym przez polityków, to chyba rzeczywiście tak było. Dwie najwyraźniejsze po temu poszlaki – to podpis Węgier pod wylobbowanym przez Dudę apelem „dziewiątki bukaresztańskiej” (wbrew dobrze znanemu stanowisku Orbana), a zwłaszcza przyspieszająca ostatnio ewolucja pozycji Francji, od czasu gdy Macron obwieścił, iż dzięki Kijowowi NATO wyszło już ze stanu „śmierci mózgowej”. Przyznam, że nigdy bym się nie spodziewał, że w kwestii wschodniej Paryż może stać się w gruncie rzeczy bliższy Warszawie niżli Berlinowi. Bonapartysta Macron bywa faktycznie mało przewidywalny.

Tak więc, gdyby nie Ameryka, Zeleński miał szanse, aby szczyt w Wilnie wygrać. Jednak Biden postanowił do tego nie dopuścić. I tu właśnie tkwi rzecz najciekawsza, nieoczywista i wymagająca namysłu. Dlaczegoż to lewicowy rząd w Waszyngtonie postępuje w kwestii rozszerzenia na wschód z taką determinacją i stanowczością? Ów namysł jest tym bardziej potrzebny, że racje podawane publicznie przez Bidena i Sullivana (ten ostatni jest chyba konstruktorem tej polityki) są

tak infantylnie zafałszowane, że trudno, aby wierzyli w nie nawet ci, którzy się nimi posługują. Zarówno bowiem prezydent, jak i jego zausznik powtarzają na lewo i prawo, że zaproszenie Ukrainy oznaczałoby automatyczne wejście NATO w wojnę z Rosją. Zważywszy, że Zeleński zawsze chciał tylko sformalizowanej promesy na członkostwo, która zadziałałaby automatycznie po skończeniu wojny i była niemożliwa do cofnięcia, a nie objęcia swego kraju klauzulą „casus foederis” w trakcie trwania wojny, nic co mówią Amerykanie nie trzyma się przecież kupy. Po prostu Biden i Sullivan (przynajmniej jak dotąd) nie chcą mieć Ukrainy w NATO nie tyle podczas wojny, ale również po wojnie. I na tym polega istota wielkiego sporu.

Choć poniższe zdanie mówiłem i pisałem już parę razy, jestem przekonany, że nadal trzeba powtarzać je do znudzenia. Do prowadzenia wojny Kijów potrzebuje broni, ale do jej zakończenia pewności bezpieczeństwa. Nieodwoływalna i sformalizowana promesa na objęcie Ukrainy traktatem waszyngtońskim jest więc warunkiem możliwości jakiegokolwiek zawieszenia broni, gdyż tylko wariat godzi się na przerwanie bitwy, jeśli ma pewność, że wróg potrzebuje czasu jedynie na odzyskanie sił i kolejny szturm. Nie może być zatem wątpliwości, iż każdy kto wśród zachodnich sojuszników odmawia Ukrainie takiej promesy, w istocie nie chce zakończenia wojny. Polityczna logika jest tutaj żelazna, a w Kijowie są tego doskonale świadomi; nie są jednak politycznymi samobójcami, aby mówić Amerykanom prawdę w oczy, skoro Ukraina jest od USA całkowicie zależna. Tym niemniej dla bezstronnego obserwatora po Wilnie staje się jasne, że ekipa Bidena nie chce zakończenia wojny na wschodzie Europy. A to daje się zrozumieć tylko wtedy, jeśli przyjąć, iż w długotrwałym konflikcie, rujnąjącym dla Ukrainy, ale zarazem zgubnym dla Moskwy, Ameryka widzi swój polityczny interes.

*Do prowadzenia wojny Kijów
potrzebuje broni, ale do jej
zakończenia pewności
bezpieczeństwa*

Rok temu Lloydowi
Austinowi raz jeden
wypsnęło się zdanie,
iż celem jego kraju w
tej wojnie jest:
„Rosja osłabiona tak
dalece, aby nigdy nie

mogła już robić tego, co robi”. Jeśli pamięta się to zdanie wypowiedziane przez ministra obrony USA, to można pojąć przyczynę odrzucenia przez Amerykę ukraińskiego żądania promesy członkostwa. Ruina materialna Ukrainy oraz zagłada pokolenia młodych Ukraińców jest ceną, jaką Biden jest chyba gotów płacić za długoletnią eliminację Moskwy z wielkiej politycznej gry o świat. Jest w tym niewątpliwie jakiś makiaweliczny sens. Tyle tylko, że jeśli istotnie tak kalkuluje się teraz w Białym Domu, no to trzeba by skończyć z zawracaniem głowy o idealizmie Ameryki, obronie zasad i innych takich rzeczach. Cynik mógłby tu jeszcze dodać (mając w pamięci choćby okupację Iraku), iż czołowi politycy amerykańscy mają wielu członków rodzin i biznesowych przyjaciół, którzy potrafią robić kokosowe interesy na usuwaniu skutków wojny gdziekolwiek na świecie, zaś młody Hunter Biden zapewne nie jest jedynym dobrze ustawionym „specjalistą” od Ukrainy.

Jednak to wszystko nie tłumaczy jeszcze tak silnego aliansu amerykańsko-niemieckiego, na jaki w Wilnie nadział się Zeleński. Rzecz jasna, motywy postępowania Berlina są odmienne i w gruncie rzeczy nieźle znane. Niemcy są obliczalne w swojej nieustającej traumie i obawie, iż jakaś przyszła międzynarodowa konfiguracja znów wepchnie ich w wojnę z Rosją. I tak w ciągu ostatniego roku przełamują się już na tyle, że wydają się coraz bardziej oswojeni z myślą o

możliwości wojny w obronie unijno-natowskiej Europy, gdyby ta została dotknięta agresją. Ale od tego jeszcze daleko do wiązania się klauzulą „casus foederis” z Ukrainą, która (jak skądinąd dowodzi cała historia) wcześniej czy później i tak musi stać się przedmiotem rosyjskiego geopolitycznego pożądanego. A od czegoś takiego Niemcy chcieliby trzymać się z daleka. Scholz nie robi nam więc żadnej niespodzianki; bardziej robi ją Macron, porzucający germańskiego przyjaciela. Ale całkiem możliwe, że dla lewicowego rządu Bidena, nastawionego na braterską więź z Berlinem, zrobienie czegokolwiek w NATO wbrew Niemcom, po prostu nie mieści się w głowie.

Ani Biden, ani jego ludzie nie kryli nigdy, że Europa – to dla nich Berlin, ewentualnie z dodatkiem Paryża. Zwłaszcza od kiedy Wyspy Brytyjskie na powrót oddzieliły się od politycznej Europy. Niewykluczone, że Ameryka, świadoma tego, że bez promesy członkostwa w NATO dla Ukrainy pokoju na wschodzie Europy nie będzie, zdecyduje się na taki krok dopiero w chwili, w której usłyszy co najmniej miękką zgodę w Berlinie. Warto w związku z tym zdawać sobie sprawę z tego, że tak długo przynajmniej, jak w Waszyngtonie rządzi post-obamowska lewica, zdolność wpływania na rząd niemiecki, jest częścią zdolności oddziaływania na Amerykę. Kto jak kto, ale Biden z Sullivanem nie będą łamać Scholza w sprawie promesy członkostwa w NATO dla Ukrainy. Dopiero jeśli któregoś dnia wyczują, że niemiecka „Zeitenwende” sięgnęła tak daleko, iż przemogła obsesyjny strach Niemców przed wizją ich udziału w jakiejś kolejnej wyprawie na Moskwę, to sami zdecydują się na wybór pokoju na wschodzie Europy, czyli rozciągnięcie klauzuli „casus foederis” co najmniej po Dniepr (albo i nawet dalej). Myślę, że jasne pojmowanie tej zależności mogłoby być bezcenne dla każdego spośród sterników polskiej polityki zagranicznej.

Jan Rokita

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

AW